

Bułgarska parasolka

Rozpięłam ostatni guzik, parasolka otworzyła się w torebce i rozerwała wewnątrz na strzępy. *No rozbieraj się*. Dzisiaj spadnie deszcz. Wysłałam na ulicę, świeciło słońce. *Nie atakuj mnie słońeczko*. Ukryłam twarz w dłoniach. Podeszli, ukradli szczęście, udajemy, że nigdy nic się nie wydarzyło, świat nadal wygina usta w szczerbatym uśmiechu. *Jesteś taki bobas bez pieluchy*.

Czy urzeka mnie poczucie humoru tego brodatego mężczyzny, od którego kupiłam zepsutą parasolkę w opustoszałym kiosku? Leży na materacu, ubrany w podarty podkoszulek, w kąciku ust trzyma papierosa. Żar spada prosto na moje nogi. – Pamiętasz, jak zrobiłeś trzydzieści pompek, stojąc na głowie? – To było dawno temu. – Mówiłeś, że chcesz to móc.

Nie chciałam pójść do sklepu po podpaski, skończyły się dwa dni temu, zakrwawione łóżko, tylko żołnierzy brak. Wyjść z domu. Muszę wyjść z domu. Na starej lodowce powiesiłam wszystkie plany na nadchodzący rok. Czyste skarpetki, puste popielniczki, plastry wódkoodporne. Szykuję się na wojnę.

To wszystko zaczęło się kilka lat temu, jadłam lody waniliowe ze starej budki, nieświeża śmietana zostawiła na ustach nieprzyjemny posmak. Był środek zimy, świeciło słońce, ale wzięłam ze sobą parasolkę, ruszyłam przed siebie, zamrożone dachówki nie spadały z dachów, bezdomne ptaki chowały się w rynnach, dzieciaki ślizgały się na kałużach, lizały zamrożone kłamki. Po ulicach maszerowali harcerze, nucili pod nosem pieśń o samotnych klaunach. Chłopcy w żołnierskich strojach przeglądali się w sklepowych szybach.

Stanęłam tuż przy wystawie sklepowej. Manekin w cekinowej sukience pomachał do mnie, odwróciłam wzrok. Chwila nieuwagi i stało się, złodziej popchnął mnie prosto na szybę. Kiedy odzyskałam przytomność, mojej parasolki już nie było.

Wiele dla mnie znaczyła, dostałam ją od babci, kiedy chodziłyśmy na grzyby, chroniła nas przed muchomorami, wściekłymi dzikami broniącymi swoich młodych, silnym wiatrem, co prawym sierpowym gładził nas po twarzy. Kupiła ją na targu staroci pomiędzy tanią bielizną, garnkami a skrzyniami dojrziałych pomidorów. *Mój mały ryneček*, mówiła o nim pieśzczotliwie. Trzymałam ją za rękę, tak długo, aż przymarzałam. *Moja malutka, musisz sama walczyć z chłodem*.

Kiedy odeszła, ledwo odrastałam od ziemi, drobna, bezlistna roślina. Nie poszłam na pogrzeb, zostałam w domu i oglądałam w telewizji reklamę parasolek dla prawdziwych dam. Moja leżała w kącie i czekała na odpowiedni moment. Na dzień, w którym spadnie śnieg.

Szukałam złodzieja przez wiele tygodni, przygotowałam rysopis, zgłosiłam przestępstwo na policję, na nic były jednak moje poszukiwania. Lata mijały, a po mojej parasolce zagiął ślad. Ludzie zaczęli się ode mnie odsuwać, znajomi uważali, że wpadłam w obsesję, terapeuci, że nadal przeżywam proces żałoby. – Ale przecież minęło już tyle lat!

Nie mogłam zapomnieć, aż pewnego dnia, spotkałam złodziejzka pod sklepem monopolowym. Palił skręcanego papierosa, wzrok utkwił w betonie. Ugrzęzł w nim na dobre, czekając na lepsze czasy. Trząsł się, obdarzony przez los delirium i zziębniętym ciałem.

Podeszłam do niego pewnym krokiem, ale z każdą chwilą traciłam wszystkie przekonania o świecie. Brak parasolki wydawał mi się teraz mniejszym problemem. Dałam mu dwa złote na piwo, bo po co dawać alkoholikowi pieniądze na bułkę, której przez własne uzależnienie nawet nie będzie w stanie przełknąć. Spojrzał na mnie z niedowierzaniem. Widziałam, że mnie poznał, desperację miałam wypisaną na twarzy. W spojrzeniu trzymał zakłęcie, „przepraszam” przekazane za pomocą magicznej puszki, którą kupił chwilę później z uśmiechem na ustach.

Długo nie mogłam pogodzić się z nieuchronną stratą, aż pewnego dnia spotkałam mężczyznę, który sprzedawał zepsute parasolki. Interes nie wypalił, bo w naszych czasach nie ma miejsca na pęknięcia. Podeszłam do szyby, spojrzął na mnie zdziwiony, jak gdyby nie wierzył już, że kiedykolwiek coś sprzeda. – Poproszę parasolkę. Czarną jak heban. – Coś powinno się znaleźć.

Za lady wyciągnął połamaną parasolkę i podał mi ją, dumnie wypinając przy tym chudą pierś. Chciałam odejść, ale zatrzymał mnie skinieniem ręki i zaprosił na kawę. W kawiarni było duszno, dlatego przenieśliśmy się do parku, padał deszcz, ale parasolka była bezużyteczna, dlatego strugi deszczu spływały po naszych twarzach prosto do kubków.

– Dałaś mi nadzieję, że jeszcze mogę być kimś – powiedział w końcu. – Nikt już nie kupuje parasolek, wszystkie połamane, dorwać zdrową parasolkę graniczy z cudem. I tak sobie myślę, że już zawijam interes, a tu pojawiaasz się ty i kupujesz, odzyskałem nadzieję.

Kilka tygodni później poszliśmy na spacer, piliśmy herbatę cytrynową z automatu, na rynku zbierały się tłumy. – Spójrz na te elity, ostatnie działające parasolki w kraju. Przyjrzałam się rozpalonym do czerwoności twarzom, zziębniętym dłoniom. – Chodź, musimy wracać. Zaraz otwieram sklep.

Splajtował kilka miesięcy później.

Bezrobotni siedzieliśmy w starej kamienicy porośniętej roślinnością, liczyliśmy ziarenka ryżu, kiedy za oknem pojawiały się parasolki, brodaty mężczyzna, co został moim mężem, chował głowę pod poduszkę i wrzeszczał, że świat nigdy nie pozwoli mu zapomnieć o jego nędznym położeniu.

Nadal tęskniłam za swoją parasolką, nie zazdrościłam przechodniom stylowych deszczochronów, w środku jednak wszystko mówiło mi, że powinnam iść z nimi, że tam jest moje miejsce, ale z połamaną parasolką trudno przejść przez ulicę.